

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **n. u. zykajłów, mód, wzorów i krojów.**

Cena:

kwartalnie **1** zlr.
półrocznie **2** „
rocznie **4** „

Z dodatkiem:

kwartalnie **2** zlr., półrocznie **4** zlr.,
rocznie **8** zlr. Za przesyłkę pocztową
dolicza się **15** ct. kwartalnie.

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką **60** ct.
— z dodatkiem **1** zlr. **10** ct.

NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykajłów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy:

„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie cplają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nie miała czasu pochodnia dolecieć do prochu, bo ją pochwycił Artem, jeden z wyswobodzonych kozaków, a jednocześnie Dmytro z pozostałymi rzucił się na Reszyda. — Ani się spostrzegł Basza, jak został skrepowany.

Dmytro wesół — ma żywego Reszyda!... Niewolnicy radzi, bo choć część tego odbierze, co im zadał w długiej niewoli...

Przyświecił Artem pochodnią i pyta:

— Czy poznajesz nas Baszo, twoich gości więziennych?

Reszyd zadrzał. — Jeńcy na swobodzie — straszliwa czeka go zemsta.

— Nie spodziewał się takiego końca Basza trzybuńczuczny?... — mówi dalej Artem. — Ha! różnie bywa na świecie! przyszła i na Turków ostatnia godzina...

— Świeć Artymie; czas nam do swoich.

— A po drodze nie grzech zająć do pałaców, w których z łaski Baszy, przeżyliśmy lata w roskoszy. Niechaj obaczy, jaka w nich była wygoda.

— I przywita tych — dorzucił inny kozak — co pomarli w dowlstwach.

— A należą mu się łańcuchy, w których nam lekko nie było.

Tak rozprawiają jeńcy idąc z Reszydem, który drzy na całym ciele. — Czuje pohaniec, że idzie na śmierć niechybną.

Weszli do podziemia. — Straszliwy widok! W skały powbijane łańcuchy, u łańcuchów gnijące trupy, albo kości szkieletów...

— Poznaj Baszo — mówi Artem poważnie — do kogo jaki łańcuch należał?... Dopomogę twojej pamięci. Tu był Ilij z trzema synami — pomarli na zarazę... tam rządem kozacy sławni, co światem trząść mieli, a przyszło — Boże ty mój! — zginąć tu marnie. A tam na prawo, w tej ciemnej jamie... chodź Baszo, i przypatrz mu się dobrze! to sławny nasz watażka Kremianec, którego osądziłeś na śmierć głodną... Choćby twoim Bogiem był bies najstraszliwszy, to i ten grzechu ci twego nie odpuści!... Patrz Baszo! w naszych oczach łzy, a one tyle lat światła nie widziały... Płacemy łzami patrząc na kości rycerza, a płakali krwią szczerą, gdy przyszło być świadkiem jego mąk okropnych. Spójrzj Baszo na łańcuchy! pozginane ogniwa... silnie musiał się natężyć więzień! — Może nie wiesz dla czego? Zdaleka przykuci do ścian łań-

cuchami, ile sił starczyło rzucaliśmi umierającemu suchary, któremi nas karmiono. Padaly koło więźnia. Widział je... jeden cal może dzielił go od kawałka chleba, w którym było życie... łańcuchy wyciągnął, powyłamywał stawy — a taki umarł z głodu i pragnienia. — Ciężko męczył się rycerz chroby... ciężko ci będzie za niego Reszydzie!

— Nałożyć mu łańcuchy nieboszczyka! to początek kary...

Basza nieprzytomny słuchał mowy Artema, przebudził go brzęk łańcuchów.

Straszny był chrzęst suchych kości, gdy je z kajdan wyswabdzano; ale straszniejszy zgrzyt i jęk Reszyda, gdy wzięty te uczuł na sobie.

Poważne oblicza kozaków; nie ma wesela na twarzy Dmytra... Straszne sądy boże! a i sąd ludzki straszny bywa... Więźniowie osądzi Reszyda.

Uroczystą chwilę milezenia przerwał Dmytro uwagą, że czas śpieszyć do swoich.

— Twoja prawda, mołojcze! — odpowiedzieli więźniowie. — Czas powitać kozactwo; choć i z tą pieczęcią rozstać się nie łatwo! Każden myślał, że ot jak tamci, kości tu swoje położy... Chodźmy!

Czas nam teraz powrócić do kozaków na górę: co oni tam robią?

A nie! weselą się... Turków pozabijali, albo powiązanych trzymają na kupie... Basza gdzieś znikł — jak pod ziemię poszedł... Koszowy posłał go szukać na wszystkie strony; będzie mądry, jeśli mu się uda ukryć przed kozakami!... Mołodzcy, uporawszy się z Turkami — prawdy nie zataić — poszli do komnat haremu.

Z początku było trochę płaczu i lamentu; ale później, jak się rozpatrzyły turkinie, że kozacy to nie jednookie radojady, ale chłopcy jak dęby — dały się ułaskawić. Łez — niby i nie było! lamentu nie słyhać... i nie jedna radaby, żeby tak potrwalo lata!... Bo to szczerza nieprawda, że kozak nie znał się na grzeczności!... Starsi, prawda, nieco od niewiast odwykli; ale ci trzymają się na boku, i w sali radzą z Koszowym: co dalej począć?

Reszyd, choć turek, a lubił wino.

Co lepsze powytaczało kozactwo, i piją, komu wola a do turczynek nie śpieszno.

— Czy czort zachował baszę — zawołał jeden ze starszyny — że go nigdzie znaleźć nie można!... Charakternik! ustrzegł się przed kozakami.

— Moroz chwatał na te rzeczy, a powrócił z niczem. Przetrzasał pałac od góry do dołu — nie ma!

— Choćby w myszą wlał dziurę... i to mu nie pomoże! — rzekł Koszowy, stawiając szklanke na stole —

Kilkudziesięciu chwatów położyło tu bujne swe głowy — trzeba im pogrzeb wyprawić... a obaczmy, czy ogień nie wypłoszy Reszyda z kryjówki!

— Mołojców zginęło pół kopy z czubem; turków nie przeliczyć!...

— A z chwatem, co zapalił okręt turecki, co się stało? — zapytał Ataman.

— Żyje. Aby zdrów, zabawia się z turkiniami. Chłopicz ważny!... Wojuje jak stary siczownik. Ten drugi, co z nim przyszedł, jakoś czy nie skosztował tureckiej kuli; nie było go widno...

— Pewnie zginął... I tego szkoda! na zucha patrzył. Czortów basza! drogo nas kosztuje.

Dalszą rozmowę Starszyny przerwało wejście do sali kozaka Moroza.

— Nie wart że ja niucha tabaki! — zawołał ten na wstępie! — Ot, na durnia zeszedł pod koniec... Chciał głowę dać, że Reszyda nie ma w pałacu; a tu go niepoczesny *holous*, jak barana prowadził!..

— Kto? gdzie? — porwała się starszyna, a Koszowemu oczy się zaiskrzyły.

— Sami obaczycie. Po takiej niesławie, chyba mi teraz prząść kądziel!..

W tej chwili drzwi się otwarły; do sali wszedł Dmytro, a za nim więźniowie z Reszydem.

Starszyna i Koszowy stanęli z podziwu.

Wynędniałe postacie zatoczeńców; ciała ich na wpół nagie, okryte zgnilemi łachmany, długie włosy i brody...

Twarze te znane gdzieś starszynie... Koszowy przeciera oczy...

— *Jsus Chrystos!* — woła. — Czy z grobu powychodzili?...

— Z grobu, taj jeszcze jakiego! — odpowiadają więźniowie. — *Myrom brattia!* Pokłońcie się temu kozakowi. Żeby nie on — wylecielibyście pod niebo, wraz z pałacem; a i nam nie przyszło by ujrzeć was na oczy. Mołojec przyprowadza tu wam Reszyda. Biercie go, a nam dajcie się zakrzepić... Zapomnieli jaki smak w winie.

Starszyna jeszcze nie może przyjść do siebie z zadziwu.

Po dobrej chwili ocknął się Koszowy.

— Dmytro! — zawołał, porywając go w objęcia. — Czemu cię zawdzięczyć sławę kozactwa?...

— Zrobił ja, co mógł — odpowiedział kozak — a resztę dała Preczysta. Weźcie *batku* Reszyda; tu on wam żywy, jak była wola.

Koszowy jeszcze raz uściskał Dmytra serdecznie, i zwraca się do więźniów. Długo patrzył na wynędniałe ich twarze, lży puściły mu się z oczu.

— *Holuby moji brattia ridni!* — zawołał. — Czy takimi chciał ja was widzieć za młodu?... Lat temu dwadzieście z okładem, jak wpadli w łapy bisurmanów. Mnie dał Bóg uciec, a wy... Czy poznajecie mnie? towarzysze!

Więźniowie przez chwilę patrzyli na pytającego.

— Niepewne oczy — rzekł wreszcie Artem — zepsuła wilgoć więzienia... nie poznajemy.

— Seńko Moroczny?

— Seńko! — krzyknęli w jeden głos zatoczeńcy. — Prawda, prawda! ot zeszedł się jeszcze na świecie...

— *Wasylu! Hnate!* — zaczął ścisnąć towarzyszków Koszowy... Słakali się jak małe dzieci.

— Cóż z innymi? Watażka?... — woła Ataman.

— Nie pytaj — odpowiedzieli więźnie. — Dmytro widział ich kości; dzięki baszy, dotychczas leżą jeszcze w łańcuchach...

— Sprawimy im pogrzeb! — wykrzyknął z ogniem Koszowy — pogrzeb, którego popamiętają w Carogrodzie! Prowadźcie mnie do lochów — trzeba uczcić pomarłe dusze... Przygotów się baszo! godzina twoja nie daleka. Chodźmy!

Zatrzymał Koszowego głos Baszy:

— Przed śmiercią pozwól mi się obaczyć z niewolnicą Toldą.

— Pozwolić! — skinął Koszowy na Dmytra — tylko ostrożnie z psem, żeby nam sztuki nie wypłatał — a zwracając się do towarzyszków — Chodźmy — rzekł, i wyszli.

Na usta baszy wybiegł uśmiech. Zwrócił się do Dmytra.

— Tolda! — szepnął, spuszczać głowę na piersi.

Kozak wyszedł spełnić rozkaz Atamana.

Oj, czy nie przyjdzie mu żałować, że się błakał pod ziemią. Do której nie-wejdzie komnaty — kozak z krasawicą, ta jeszcze jaką!... a *wraży* Hnat aż dwie ma koło siebie!... Jedną objął w pół, a druga całuje go w kare oczy.

Tak się niedobrze zrobiło Dmytrowi, że aż splunął.

— Szelma *chmyz!* jak o sobie pamiętał.. Dwie, a każda jak malowana... Bies tu wyszuka Toldę! Chyba głupia czekać na baszę, kiedy chwatów tyle, że ino wybierać. Hej! która tu z was Tolda? — zawołał głośno. — Niechby szła do Reszyda!

Na ten głos wybiega z komnaty jakaś poczwara, i prosto do Dmytra.

— Reszyd!... Tolda!... — woła wpół nieprzytomnie, i znakami wskazuje, że z nią to chce widzieć się basza.

— To z taką lalą chce się Reszyd hołubić przed śmiercią? — skrzywił się Dmytro. — Nu, wybrał... Chodź *moja krale!* zaprowadzę cię do kochanka!

Skinął na Toldę; wracają przez komnaty.

Turkinie wdzięczą się do kozaków... Hnata już obie objęły za szyję; a on na jedną, to na drugą patrzy...

Dmytro znowu splunął.

— Przeklęty *chmyz!* Ot jak on tu wojuje!...

Ledwie weszli do sali, w której był Reszyd, Tolda rzuciła się do nóg baszy, i całować je zaczęła.

Turek ocknął się... Spojrzenie, kilka słów wymówionych... Oczy Reszyda dziko zagorzały... Wyciągnął rękę.

W tej chwili Koszowy pokazał się na progu; dojrzał ruchu Baszy.

— Dość rąk dla łańcuchów — zawołał. — Precz z tą czarownicą!

Kozacy oderwali Toldę od nóg Baszy.

— Pozwólcie mi ją ucałować — drząc zawołał Basza. — Wszak to wam nie szkodzi.

— A nie szkodzi! Całuj, tylko prędko — rzekł Koszowy — bo już nie wiele czasu ci zostało.

Z dzikim okrzykiem rzuciła się Tolda do Reszyda.

Basza nachylił się... dotyka ustami jej włosów... Długo i zapamiętale całuje... aż dzikim zalał się śmiechem.

— Podłe giaury! — wykrzyknął. — Nie wam brać zemstę z żywego Reszyda!...

Twarz turka zsiniała; na usta występuje pjana; pochylił się i pada.

— Otruty! — krzyknęli kozacy, przyskakując do trupa.

— Przeklęty turek! — krzyknął Koszowy. — Wykręcił się od zemsty. Ale jakim sposobem?...

Niewolnica uśmiechnęła się boleśnie.

— Tu we włosach trucizna. Patrzenie!

Odlepia od warkocza woskową kulkę, i do ust kładzie.

— Pan mój kazał mi umrzeć — szepnęła. — Umieram. — I padła u nóg Baszy...

Kozacy w milczeniu patrzą na dwa trupy. (C. d. n.)

Po śmierci.

Komedja w jednym akcie,

Bronisława Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena III.

WALERY, PIOTR.

WALERY.

Jak przed wojną

Kipi we mnie uczucie... Ha, dziej się!

PIOTR.

Więc żywo!...

WALERY.

Z któregoż końca zacząć tę farsę prawdziwą?

PIOTR.

Pierwszy akt jej odegram ja: — z miną warjata, Jak się rzekło, oblecę wszystkie kąty świata Dmąc w tę złowrogą tubę: nie żyje! nie żyje!... Pan tymczasem, ot — w tym się pokoju ukryje — Ja drzwi na klucz zamykam...

WALERY.

Rozumiem. — Coż potem?

PIOTR.

Potem wpadam do papy z okropnym łoskotem I proszę tu do trupa... Rwetes, gwałt się wzmagają...

WALERY.

Ba, maleńki skrupulik: czy papy powaga Pozwoli mu zejść tutaj?...

PIOTR.

Na to, jak na lato!

Mimo bowiem, że papa jest arystokratą Wyżej uszu, ma przecie i zdrowsze popędy — Mówiłem o tem panu, że ma pewne względy Durnopatyczne...

WALERY (ocknąwszy się nagle.)

Fiksum nader znakomite

Dla nas!...

PIOTR.

Nawet dla niego — bo da mu niezbite

Dowody cudowności owego sposobu Kuracji...

WALERY (zrozumiewając myśl.)

Więc on musi mię już z paszczy grobu

Wybawić swoją dłonią cudo-magnetyczną!...

Wybornie!

PIOTR.

To, to właśnie... On famę publiczną

Musi zdobyć, że nawet wielkich ludzi wskrzesza Przez samo ręk włożenie...

WALERY.

Ha, to mię pociesza!...

Znakomicie! i wszystko jak dobrze się schodzi!...

PIOTR.

To łapka, w którą musi wpaść papa dobrodziej! To — kluczem, osią w kole jest pańskiego losu: Cudowna sztuka papy nabierze rozgłosu, Bo juźci, nawet większym ten, co wraca życie Wielkim... Więc papa sławnym! Jednak, mianowicie Komuż będzie zawdzięczał ową wielkość swoją?... Nam.

WALERY (radośnie.)

Nam!

PIOTR.

To jest, pauz!

WALERY (j. p.)

Mnie!... Pietrze, czyś ty Troję

Zdobywał w dawnych czasach?... (ściska go.)

i znów się tu rodziś

Na moje pocieszenie?... Czy ty się wywodziś

Z Ulissesów, czy może z trojańskiego konia!

PIOTR.

Ja? z aktorskich rupieci...

WALERY.

O losu ironja!

PIOTR.

Papo! niech żyją twoje magnetyczne bziki! Sławnym ty będziesz z swojej dzisiejszej praktyki, Ale tę twoją sławę ja ci drogo kupię...

WALERY.

Więc on zejdzie doświadczać tu na moim trupie?

PIOTR.

Łgać trzeba! więc naprzykład, że błąd organiczny Sprowadził śmierć przedwczesną i nagłą — dziedziczny Błąd, na któregoś często sam pan mi się skarżył... Że warto, by ktoś z fachu na trupie rozważył Ten błąd, a może odkryć ztąd jakie nowości, Za które może wdzięczność mieć całej ludzkości — Że wreszcie, gdy pan zmierasz nie zdrowy, nie chory, Mogą to dla ocz zwykłych być tylko pozory Śmierci, — ile że jeszcze niepełna godziny Przed śmiercią pan stroiłeś różne pantominy, Zdrów i wesół i czerstwy... więc warto doświadczyć Ten błąd za świeża jeszcze... można się odznaczyć... I tam dalej — i dalej — — koniec sam się skleci!...

WALERY.

Omegą — ma Stasiénka!...

PIOTR (po namyśle.)

Ba, jeszcze ktoś trzeci

Zdalby się tu... Konieczność nawet pewna zmusza: Bo dla zmarłych potrzeba gwałtem — notariusza!

WALERY.

Bardzo słusznie...

PIOTR.

Ej, głupstwo! mamy dość wybiegów —

Którego z pańskich można zaprosić kolegów

Na ten urząd —

WALERY.

Ach, prawda — więc można by Władka? —

On dobry do komedji — przyjaciel mój — gładka Zresztą bardzo figura w takich sprawkach...

PIOTR.

Basta!...

Kortyna się podnosi... Ja lecę do miasta

I w każde ucho bębnię śmierć, fatalną wróżbę —
Pana Władzia zapraszam tu na śmierci drużbę:
Notariusza...

WALERY.

Wprzód dobrze nauczywszy roli —

PIOTR.

Oczewiście... No, panu zostawiam do woli
Wypełnienie komedji swoją maską trupią
I w sam czas zmartwychwstaniem —

WALERY.

O, jakże mi głupio
Na samą myśl trupienia!... miłość i trup!... *(po chwili.)*

Koniec!...

Raz — dwa — trzy... z czleka trup już — a zaś śmierci goniec
W swą drogę!... *(wybiega i zamyka pokój na klucz.)*

Scena IV.

WALERY *(sam.)*

Bądźcież ze mną teraz wszyscy święci

Aktorowie! bo jeszcze w głowie mi się kręci
Cały kołowrot wątku tej dziwnej intrygi...
Trup — trup za chwilę! teraz ostatnie podrygi
Przypadłoby wykonać!... No, to dobrze przecie,
Że po śmierci żyć będę przynajmniej na świecie —
Co bardziej, że po śmierci może łatwiej będzie
Posiąść to szczęście, które w pewnej gdzieś legendzie
Zwie się: światłością wieczną — czasami: huryską...
A u mnie: mą Stasieczką dobrą, nad kołyską,
Z której mały aniołek wyciąga rączeta...
O niebo! niech ci tego Pan Bóg nie pamięta!...
Co do mnie? ja się wpraszam do mojego raju: —
Tam życie! tam natura zawsze jakby w maju,
Zamiast ptasząt, aniolki ci żywe szczebiocą,
Tam słońca czuwające i dniami i nocą
Nad każdą myślą twoją, chroniące od złego...
Jeśliś smutny — odgadną, pocieszą — ostrzegą —
I otuchą pokrzepią i chęć zrozumieją
I staną wieczną: wiarą — miłością — nadzieją! —
O edenie mój!... ba, ba — zapominam o tem,
Że eden trza zdobywać bardzo ciężkim potem,
Że pierwej umrzeć musi, kto chciałby do nieba...
Umierajmy więc... *(bierze z szafki pudełko z przyborami aktorskimi.)*

Najprzód ztrupić się potrzeba

W ten sposób... *(maże twarz bielidłem.)*

Melpomeno! niech ci nie ubliża,

Że trup w tym wieku nawet do farsy się zniża...
Wybacz! a gdy cię gorszy to, więc przymróż ślepię!...

(wpatruje się w lustro.)

Ach, jakież ze mnie głupi trup!... *(maże na twarzy dalej.)*

Teraz podlepię

Policzki — trza wyrazić śmiertelną obrzmiałość...

Oczy w jamę... *(smaruje węglem jamy ocz.)*

Tak!... *(przeogląda się w lustrze.)*

Jakaż trupia doskonałość!

(wstaje i chowa przybory do szafki.)

Stało się! — już po śmierci! — teraz właśnie stoję

Przed furtą niebios... Pietrze! odchyl mi podwoje!

Dalipan żem zasłużył na to: bom już z mlekiem

Matki wyssał chęć nieba — wszak byłem — człowiekiem!...

(słychać klucz we drzwi.)

Ha, słyszę pobrzęk klucza... *(wpada Piotr.)*

Scena V.

WALERY, PIOTR.

WALERY.

Ach, Pietrze mój, Pietrze!...

(udaje trupią bezwładność rzuciwszy się w krzesło.)

PIOTR *(zadyszany.)*

Śmierć poszła już przez niebo, ziemię i powietrze!
Ani słowa!... już wszystko dobrze!... żywo, żywo
Układaj się pan w trupa!... *(patrzy na twarz Walerego.)*

Aj, wyborne dziwo

Naglej śmierci — śpiesz że pan co prędzej do łóżka!
Całe miasto już płacze...

WALERY.

O, pocziwa duszka!...

PIOTR.

Teraz biegnę do papy...

WALERY.

Ja ci do pomocy

Zeszłę duchy z mojego świata...

PIOTR.

Jakby z procy

Wpadam, i ściągam razem z magnetyzmem na dół!

WALERY.

A ja już okiem ducha patrzę na ten padół
Przez szczelinę w wieczności... *(pokazując na drzwi z lewej.)*
ot, dziurką od klucza...

PIOTR.

Notariusz wnet nadejdzie. Teraz się przyucza
Swej roli...

WALERY.

Brawo!

PIOTR.

Potem — cud! —

WALERY.

W tym naszym wieku!...

PIOTR.

Aż święci pozadzroszczą!... *(wybiega zamknąwszy drzwi na klucz.)*

Scena VI.

WALERY *(sam usiadając na krześle jak najbliżej publiczności filozofuje.)*

Człowieku! człowieku!

Czemu ty masz zaufać nakoniec, lub komu,
Jeśli podstęp na ciebie czyha w własnym domu?!...
Nie dziw, aktor, wcielona dramatyczna sztuka
Że cię czasem zniemacka podszedłszy, oszuka —
Ale ileż to razy oszuka cię własny
Rozum, rozsądek zwykły, — oszuka w dzień jasny,
W chwili, gdy słońko boże ogrzewa twe ciemię
I z taką wierną prawdą rysuje ci ziemię,
Że gdybyś ty miał oczy otwarte!... Daj katu!
Po śmierci się zachciewa cię perorę świata?...
Ow! wielka mi sztuka, będąc czystym duchem
Prawić takie kazanie!... Tam to, pod obuchem
Swego nędznego ciała było tak zaśpiewać!...
Dawna ojczyzna moja! chce mi się poziewać,
Gdy teraz patrzę na cię z mego stanowiska
Niebieskiego — choć jeszcześ mi tak bardzo bliska,
Boć niespełna godziny jakem cię porzucił...
Oj, gdyby Bóg powtórnie w tobie mię ocucił,
To ja bym ci nauczkę powiedział na ucho:
Nie bardzo ty się kwap tam — gdzie ciemno i głucho...
Żyj zdrowa, gdy ci dobrze... *(kroki za drzwiami.)*
Sza, sza! kroki słyszę...
Nadchodzą. — Teraz trzeba rozplynać się w ciszę...

(wybiega w drzwi lewe.)

(C. d. n.)

PIERWSZA MIŁOŚĆ KORREPTYTORA.

Luźne kartki zebrane
przez
AURELEGO URBAŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Więc cóż poczniesz Szczęsny? Maszże pozwolić na to, by cię uprzedził Wichrowicz, który pewnie ciotki swojej o radę się nie pyta? Nie, nigdy! — Jestto pierwszy atak, który wykonujesz w spokojnem potąd twem życiu, ale wykonać go musisz. Pamiętaj, jaki szaniec masz zdobyć, i jaka zdobycz cię czeka! O panno Barbaro! Choćbyś była bastjonami a nie kryoliną obwarowana, zdobędę cię, bo cię zdobyć muszę! Tak! Czuję jak mi odwaga rośnie w piersi... Czuję jak promieni się oko moje... Wrzucam się w oświętny mój tużurek i biegnę do Przecznic, biegnę się oświadczyć panu wice-burmistrzowi, potem pannie Barbarze, potem dam na zapowiedzi, i w końcu żenię się z panną Barbarą!

Żegnam was spokojne mury, które byłyście świadkami mojej pracy i moich zdolności!... Teraz idę ich doświadczać na innem polu... Ropucho oryginalna w nowo sprawionym słoiku, w spirytusie ośmiogradusowym od Herszka Dattelzweig, bywaj mi zdrowa!... Teraz czeka mnie żona, więc tyś mi nie potrzebna!... Żegnam cię ubóstwiony Mocniku!... Lecz nie!... Tużczy przerywają mi mowę... Muszę go ucałować jeszcze, muszę choć komparturkę jego przycisnąć do ust moich.

Co to jest?... Jakiś list wypada z mojego Mocnika. — Ach to ostatni list panny Barbary do Tekluni, który Wichrowiczowi doręczyć zapomniałem...

Jestem narzeczonym panny Barbary... jestem prawie mężem panny Barbary... Mam prawo czytać wszystkie jej listy...

• Najdroższy mój Zefirynie!

Koncept Twój przesyłania tobie listów pod adresą Tekluni na ręce korreptytora naszego Jacusia był jenjalnym. Ucałuję cię za niego przy pierwszym zobaczeniu się. Żal mi tego biednego chłopca, który zresztą do mnie zdaje się być przywiązany, i lubiałabym go nawet, gdyby nie był tak głupi i nieokrzesany. Dziś szczególnie wydał mi się tak śmiesznym, że musiałam sobie gryźć usta do krwi, by nie parsknąć mu w oczy od śmiechu. Za wiele biedaczysko się uczy, i dlatego co dzień staje się głupszym. Jak będziemy na własnem gospodarstwie, trzeba się będzie zająć trochę tym gburowatym matematykiem i wytresować go na człowieka. Tymczasem bądź zdrów i pilnuj urzędu, bo od twego awansu cała przyszłość nasza zależy. Jutro przyslij mi znowu odpowiedź przez naszego głupiutkiego, lecz poczciwego listonosza.

Twoja Barbara.

Upadam do nóg! Teraz wszystko pojmuję... O panno Barbaro, panno Barbaro! Nazywasz mnie głupim, gburem i nieokrzesanym; masz mnie za pudła, chcesz mnie tresować i zrobić dopiero człowiekiem; pogardzasz moją miłością i nazywasz twoim tego, który jest moim wrogiem.

I naśmiewa się ze mnie, zowiąc mnie ułomkiem. I plami mi atramentem prześcieradło. I bije słoje z ropuchami. I tłucze lusterka. I depcze nagniotki...

O panno Barbaro — dość tego! Ale i na ciebie przyszła kolej. Z ust moich dowiedziałaś się o zdradzie twojego wichrowatego adonisa, zefirkowatego wiercipięty! Niech ci ta wiadomość sen odbiera, tak jak ja, zbywszy się ciężaru żeniaczki, spać będę błogo i spokojnie z niesmiertelnym mym Mocnikiem! — I ty Wichrowiczu wpadłeś we własne sieci — zemściłem się srogo... Już nie będziesz całował panny Barbary, nie będziesz siedział koło niej, nie będziesz przed nią wystawiał na śmieszność ludzi, którzy lepiej od ciebie mnożą i dzielą, i umieją na palcach logarytmy, o których ty nie masz nawet mizernego pojęcia!

Zrzuciłem z siebie niepotrzebny tużurek, napiłem się zimnej wody, siadłem do stolika, i zacząłem dalej moje rachunki, spokojny i swobodny jak nigdy...

XII.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Sprawiedliwe przysłowie! Słuszne przysłowie... Lecz nie, raczej powiedziałbym: Korreptytor mści się, a ofiary śmieją się z niego; tak jest, śmieją się z niego! śmieją się z jego zemsty. A dla czego? Dla tego, że nie jest trzpiotem, pędziwiatrem, wiercipiętą, bo nie całuje panie, nie depcze nagniotków, nie niszczy porządnym ludziom prześcieradeł, i nie bije luster. Dla tego, że samymi pozytywnymi zajmuje się przedmiotami, bo kultywuje rozumne wiadomości, bo trudni się matematyką i uczy młodsze pokolenie, że dwa razy dwa jest cztery, a nie siedm, jak to wówczas z przyczyny oczek panny Barbary przeslepiłem.

A chcecie wiedzieć, bolejący zapewne nad moim losem czytelnicy, jak się to stało, że chybiło moje wyrachowanie tym razem, i rezultat wypadł zupełnie inny, jak go się spodziewałem? Oto przeczytajcie list z rzędu trzeci z przypiskami, który w parę godzin po katastrofie otrzymałem.

• Panie Szczęsny!

Dotychczas miałam pana za porządnego, choć ograniczonego młodego człowieka; jednak po ostatnim żarcie, jakiegoś pan sobie ze mną pozwolił, oczerniając przedemną mego narzeczonego, pana Zefiryra, poznaję, że pan oprócz ograniczonej głowy, masz jeszcze złośliwe serce, a jak się nad pierwszym ubolewa, tak się drugiego nigdy nie przebacza. Miłoby mi było, gdybym mu nigdy i nigdzie swoim widokiem uciążliwą być nie potrzebowała.

Barbara Chrapiełówna.

Przypisek 1. • Panie korreptytorze!

Posyłając mego Jacusia z przyszłym miesiącem do szkoły do Lwowa, nie potrzebuję Pana więcej obowiązkiem dotychczasowym molestować; za tem uprzedzam Pana, że z dniem dzisiejszym żadnych do Jego usług nie roszczę sobie pretensyj. Spodziewam się, że dawszy tyle dowodów mądrości, uczoności i sprytności, znajdziesz sobie wkrótce odpowiednie swym talentom miejsce, co mu życząc, zostaje służą,

Chrapiełło m. p.
wice-burmistrz.

Przypisek 2. „Głupi filozofie!

Żebyś nie był tak ograniczonym, byłbyś się łatwo mógł dowiedzieć, że osoba, z którą byłem u Fatalskich podczas twego uczonego korrepetytowania, była właśnie co ze Lwowa przybyła siostra moja Teklunia; lecz zarazem podziękuj tej twojej głupocie, że uniknąłeś przykładowej kary, na jaką zasłużyłbyś z rąk twego sługi

Wichrowicza,
właśnie co mianowanego kancelistę I. klasy.

E p i l o g.

W cztery tygodnie potem odbył się ślub Wichrowicza z panną Barbarą. Wichrowicz miał wyglądać wcale porządnie i *solid*, a panna Barbara nie płakała wcale. Moja ciotka Piórkiewiczowa, która od owego czasu znać mnie nie chce, proszona była za starościnę. Drużbowali pannie młodej: pan aptekarz Miksturkiewicz i najstarszy z młodych Fatalskich Ficpio, który według zasiągniętych przezemnie wiadomości, pomny moich dawnych przestróg, nie dłużył jakoś w nosie; pana młodego zaś prowadziły obie pocztmistrzówny Dryndalewiczanki.

Ja nie mogłem przypatrzeć się temu własnemi oczyma, nie będąc już natenczas w miasteczku, los mój bowiem nieprzyjazny ulokował mnie zdala od nich wszystkich — zdala od wice-burmistrza i terażniejszej pani Wichrowiczowej.

Koniec.

Korespondencje.

Paryż 3. lutego 1868 r.

Paryż dzisiejszy jest dla jednych Babilonem — dla drugich Rzymem za czasów Cezarów. Jakkolwiek jedno i drugie porównanie nie wypada na korzyść dzisiejszej stolicy świata, z dwóch biorąc, wolelibyśmy drugie, a raczej jeżeliby już koniecznie porównywać było potrzeba, przyjęlibyśmy to drugie porównanie, — chociaż jak w historii nic się nie powtarza, tak i Paryż dzisiejszy, może pod wielu względami przypominający Romę Cezarów, ma zupełnie odrębną fizjognomję. Nie ma tu ani tej wyuzdanej rozpusty, jakkolwiek paryżanie i paryżanki prowadzą życie bardzo swobodne... ani zarodów nowego życia, które z Romy przelało się na inne ludy. Nie chcemy wierzyć, aby Paryż, oprócz mody, wywierał magiczny wpływ na świat dzisiejszy. Są wprawdzie chwile kiedy paryżanie wywieszają chorągiew wolności i pociągają za sobą cały świat, ale to chwile tylko... i gdy każdy naród uporeczywie na tem polu pracuje, Paryż entuzjastycznie tylko błysnąwszy, słabnie znowu, zamiera, poddaje się jarzmu, i z całą rezygnacją znosi takowe. Romę ceszarową przypomina on rozległością, napływem najrozmaitszych żywiołów, które dziś jeszcze nie mogą zatrzeć jego wybitności francuzkiej, ale grożą tem w niedalekiej może przyszłości...

Najsilniejszym podobno z obcych żywiołów jest tu żywioł niemiecki. Niemcy, którym duszno w ich ojczyźnie, którzy szukają na całej kuli ziemskiej szczęścia, którzy obsiedli ze wszystkich stron carstwo moskiewskie; Niemcy co w gryzają

się coraz głębiej w ziemi polskie, a rozsypują się po Ameryce — nie mniej stosunkowo licznie zagnieżdżają się i w Paryżu. Prefektem Paryża i departementu Sekwany jest p. Hausmann, prezesem izby prawodawczej p. Sneider. Są to dwa najwyższe urzędy Francji, a francuzi niechętnie dopuszczają cudzoziemców do urzędowania, i są jednym z plemion najwięcej egoistycznym pod tym względem!...

Ale Niemcy wybierający się za chlebem w świat, jest to klasa najuboższa i najmniej wykształcona; więc tylko w Moskwie mogą kierować rządem, wojskiem, carem i całą w ogóle administracją — w Paryżu zajmują oni inne stanowisko: uprzątną nieczystości; w ich rękach cała ta gałęź... nie spotkacie w Paryżu z miotłą na ulicy jak tylko niemców i niemki. Łatwo się wyróżniają narodowym swym strojem. Pełno ich po warsztatach, na fabrykach; wszędzie ubiegają francuzów swoją pracowitością, wytrwałością, pochlebstwem i uniżonością. Niemiec dostawszy się na fabrykę, pracuje więcej godzin niż Francuz, za mniejszą zapłatę, albo i bez takowej; obsługuje gospodarza, czyści mu buty, odzienie, wymiecie mieszkanie, aż stanie się mu niedobiciem potrzebnym, i uzyskawszy zaufanie — ma już u niego pierwszeństwo przed innymi robotnikami. Grosz zarobiony umie najdoskonalej użyć, obywając się prawie bez strawy, lub nadzwyczaj lichą, i w prędkim czasie zakłada fabrykę, których ogromna moc jest już w rękach niemieckich. Najludniejsza dawniej rewolucyjne części miasta są dziś zamieszkałe przez niemców.

Anglicy przybywają do Paryża najwięcej zwabieni ciekawością życia stosunkowo do ich ojczyzny, albo przez wrodzoną ciekawość; tak naprzykład: na 15. sierpnia dla zobaczenia iluminacji przyjeżdża ich kilkadziesiąt lub kilkaset tysięcy — i wreszcie przez wrodzony nałóg podróżowania, a do Paryża tak niedaleko!... Polacy, Hiszpanie wyrzuceni z kraju w skutek prac politycznych, i w ogóle wszelkich krajów emigranci polityczni, a w części i niepolityczni (Czesi) cisną się do Paryża. Zresztą przyjeżdżają tu bawić się z rozmaitych stron, a tracą pieniądze ogromnie, szczególniejsz Moskale, Polacy i Anglicy. Więc też paryżanie aby ich zwabić, skorzystać z nich, zapierają się wszystkiego i przybierają strój kosmopolityczny. To się wybitnie okazało za bytności cara i innych królów. Przyjmowano zarówno wszystkich, bo każdy tracił dużo pieniędzy. Najbardziej radzi byli z Cara, bo ten najwięcej przywiózł milionów. Wskutek tego i fizjognomja Paryża staje się coraz bardziej kosmopolityczną, i bardzo być może, że wkrótce przestanie on należeć do Francji, stając się własnością wszystkich. Język tu nie odgrywa wielkiej roli; mówią i afiszują się po francuzku, bo to język mody...

Nie ma nawet starań przeciwdziałających. Uczeni i filozofowie są dumni z tego co jest, i zasklepiają się w sobie. Nie uwierzycie może, iż rzadko który z tutejszych sławnych profesorów i uczonych znakomitości europejskich mówi jeszcze jakim językiem oprócz rodowitego... Panowie ci tak przeświadczeni o swej wyższości, że im się zdaje, iż cały świat nie tylko fraki i cylindry, te insygnja oświaty, lecz wszystko od nich przyjąć powinien i zasymiluje się z nimi; pracują nad zdobyciem świata przez oświatę i swoje posłannictwo, w które silnie wierzą.

Jedyny żywioł w Paryżu, dziś silny, energiczny, czysto francuzki, szlachetny, dążący do wolności, bo znosi najcięższą niedolę nędzy, odczuwający każdą boleść ucisnionych ludów, dzielający ich dążenia, są to wyrobnicy (*ouvriers*). Na nim spoczywa przyszłość Francji; ale i tu podkopują silnie Niemcy.

zajawszy niższe jeszcze stanowisko i trzymający się ze sobą silnie, bo są już w znacznej liczbie.

Nigdzie może nie jest tak widoczną metamorfoza, która się dzieje z ludźmi, jak w Paryżu. Uwier jest to ten, co chodzi w siennej bluzie; skoro mu przypadkiem uśmiechnie się fortuna, wkłada frak, cylinder — i przestaje być tem, czem był! zmienia uczucia, przekonania; szczególnie jeśli się dotknie handlu, staje się posłusznym narzędziem rządu, i zapomina o swoich sympatjach, zwracając takowe do grosza!

Emigracja polska najliczniej przebywa w Paryżu. Paryż jest jej stolicą. Zwabieni tu naprzód przez zwodnicze sympatje Francji dla Polski; (Właściwie mówiąc nikt tu szczerze nam nie sprzyja, wyjmując urwiera, a i ten nie raz gorzko wyrzuca, że mu wydzierają chleb)... następnie dostawszy się już do Paryża nie łatwo go opuścić; nędza (nigdzie Polacy większej jak w Paryżu nie znoszą), ta nędza staje na przeszkodzie opuszczenia miejsca, a że przecież choć w nędzy żyć tu można, i rzadki wypadek, aby kto z głodu umarł — wyradza ona obawę, że gdzieindziej może być jeszcze gorzej; każdy więc siedzi i klepie biedę. Ztąd to Paryż przygarnia od dwóch do trzech tysięcy emigrantów. Emigranci, zmieniający miejsce swego zamieszkania, gdy przybywają do Paryża, każdy przyjeżdża przynajmniej odziany, wesół i z jakim takim rumieńcem na twarzy; przebędzie tu kawał czasu — już mu brak odzienia, miejsce wesolości zajęła tęsknota, jakaś gorycz... i rumieniec znika! Trudno to daje się wytłumaczyć, ale fakta tak świadczą. Nigdzie może trudniej o zajęcie jak tutaj. Są Towarzystwa szumne z tytułów i sprawozdań, jak komitet Franko-Polski, Towarzystwo dam dobroczynności, które rozdają znaczne sumy, ale właściwa emigracja ich nie otrzymuje. W jednym sprawozdaniu, komitet Franko-Polski ogłosił, że wyszukał zatrudnienie dla 400 osób... błaga! bo i 40 nie otrzymało, a i to takie zajęcia, przy których wytrwać było niepodobna.

Emigracja pracując na chleb mało ma czasu na inne prace, i z nadzwyczajnem wysileniem tylko ich dokonywa. Napaści na emigrację, że mało robi, nie są słuszne, bo spędziwszy 12 godzin przy ciężkiej fizycznej pracy, a zwłaszcza nieprzywykłemu do tego — trudno jest, niezmiernie trudno! pozostałe parę godzin obrócić na pracę umysłową. To też tak zwani nasi literaci, którzy nie pracują tak ciężko, a obywają się suchym kawałkiem chleba — pożał się Boże patrzeć na nich jak wyglądają! Jednak i to nie wiele więcej czasu daje na pracę umysłową, bo wyniszczenie fizyczne, choroby niedobrymi są sprzymierzeńcami tej pracy. Zresztą chleb literacki — zawsze jest gorzki...

Dałoby się pod tym względem jeszcze coś powiedzieć odnośnego do emigracji, ale teraz nie pora potemu.

Przejdźmy raczej do prac dokonanych, bo oto świeżo wyszły z druku „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego“ podaje do tego sposobność.

Na czele książki artykuł: „Zakłady polskie na Wychodztwie.“ Nie od rzeczy będzie przejść za autorem, i czytelników z niemi pokrótce zapoznać, oświadczając, że nie trzymamy się sądu o nich autora.

Nasamprzód „Towarzystwo historyczno-literackie.“ Starala się emigracja 1863 roku skupić ludzi pióra i pracujących nad nauką; zawiązała „Towarzystwo Naukowe,“ później „Naukowo-Literackie“ i tym podobne; ale zdały się one na to, aby obudzić do współzawodnictwa założone przed trzydziestu laty a dotąd na tem polu zupełnie bezczynne „Towarzystwo historyczno-

literackie.“ Jest to Towarzystwo, pomimo swej nazwy, czysto-polityczne; położyło może jedną ale wielką zasługę przez założenie i utrzymywanie publicznej polskiej biblioteki, która obecnie liczy do 40.000 tomów. Przebudziwszy się z letargicznego snu, zawezwało ono do swego składu młodych a zgodnych z niem w opinjach politycznych ludzi, i jak widzimy ze sprawozdania liczy 130 członków, odbywa posiedzenia co miesiąc, i jedno publiczne 3. maja, zabytek dawny, na którym zwykle Czartoryski miewa mowę, i oto drugi już tom „Rocznika“ mamy w rękach. Jak dalece jednak i dzisiaj jest bezczynnem Towarzystwo zobaczymy z jedyne go owocu jej prac z „Rocznika.“ Ogłosiło Towarzystwo konkurs na dzieło: „O przyczynach słabości rządu polskiego w ostatnich dwóch wiekach (17 i 18) z ocenieniem krytycznem przykładów historycznych, instytucji i charakteru narodowego,“ za nagrodę 885 franków. Jestto zapis bezimiennego dawcy.

Następnie „Szkoła polska na Batignolles.“ W ciągu roku 1866/7 szkoła liczyła uczniów miejscowych 247, przychodzących 53, razem 300. Niesłychane dobrodziejstwo dla emigracji ta szkoła Batiniolska. Emigranci żonaci z francuzkami, zmuszeni być przy pracy dzień cały, nie mają wpływu na wychowanie dzieci, i te absolutnie słowa po polsku nie umieją. Rzadko kiedy to jest winą rodziców, zawsze nieszczęśliwego położenia. Szkoła to naprawić ma za obowiązek. Powtóre, emigranci biedni nie mogliby dać dzieciom swoim żadnego wykształcenia, gdyby ich ta szkoła nie wyręczyła. Szkoła Batignol utrzymywana przez rząd i po części przez ofiary z kraju, który między nami mówiąc nie rujnuje się na to... a oddana pod zarząd Polaków przyjmuje dzieci emigrantów, i przez dziewięć lat kształci. Coż powiecie? dzieci wychodzą nie umiejąc po polsku. Taka to gorliwość Rady szkolnej dbającej więcej o tytuł swój, niż o pożytek w kraju. Wszyscy prawie nauczyciele francuzi, kapelan nawet francuz, obchodzenie się z uczniami lekkomyślne. Ostatniemi czasy wezwano kilku ludzi z młodej emigracji na nauczycieli, ale tylko języka i historii polskiej, zresztą pozostają francuzi. W skutek tego jednak, że po ostatniem powstaniu nie mało dzieci emigrowało i do tej szkoły się dostało, polszczyzna tam znacznie większe robi postępy, chociaż wpływ francuzki przeważa. Szkoła ta oczekuje stanowczej reformy, ażeby mogła oddać krajowi usługi, jakie od niej z zajmowanego przez nią stanowiska są wymagane.

Dalej „Szkoła wyższa Polska,“ a właściwie przygotowawcza do wyższych zakładów specjalnych francuzkich, utrzymywana również przez rząd francuzki; kurs dwuletni, uczęszcza uczniów 100. Nie ma ona tej wyższości co poprzednia, to też bywało w niej niektórych lat mniej uczniów, niż nauczycieli. Profesorowie Polacy. Oddała i oddaje ona obecnie wielkie usługi emigracji, biorąc ludzi przygotowanych naukowo w kraju, i uzdalniając do słuchania kursów w tutejszych zakładach, i przez tych uczniów, z których nie jeden posiada dyplom z ukończenia uniwersytetu, przybrała charakter poważny. Wszyscy pracują ile sił, i znać już bardzo piękne rezultata. Wszystkie szkoły specjalne francuzkie zyskały słuchaczy Polaków. Podamy z czasem obraz tego dokładniejszy.

Nareszcie „Instytut panien polskich“ w hotelu Lambert, liczy uczniów 43; utrzymanie pochłania znaczne sumy, a nie daje żadnych rezultatów; mało tego, że wychowanie powierzone francuzom, ale pozostawione bez żadnego dozoru. Uczą tam: maniery, tonu, tańców etc. etc., odbywają z tego publiczne popisy.

Niedawno było przedstawienie żywych obrazów, na które jednak przybyła tylko jedna pani, choć zaproszonych było wiele; pozostawmy jednak sąd surowy samej emigracji.

I nakoniec „domy St. Kazimierza i St. Stanisława“ utrzymują czternastu weteranów i pięćdziesiąt dziewczynek sierót; zapatruje ich szesnaście siostr miłosierdzia.

Podaje jeszcze „Rocznik“ obszernie relacje o zmartwychwstańcach i Wizytkach; lecz my ograniczamy się na tej wzmiance.

Wszystkie tu wyliczone zakłady zostają pod zarządem Czarotorskich i kilku jeszcze osób, wszędzie tych samych.

Umyślnie tu pominęliśmy najpoważniejszą „instytucję czci i chleba dla weteranów“ zasłużonych i kalek, w oczekiwaniu na ich własne doroczne sprawozdanie, które jest pod prasą; a po wyjściu zdamy szczegółowe sprawozdanie, gdyż uważamy, że ono kraj żywo obchodzić powinno.

W dalszym ciągu „Rocznik“ zawiera: „Obronę Stanisława Augusta“ przez Wolskiego szambelana dworu Stanisława Augusta. Jest to obszerny pamiętnik obejmujący dwie trzecie całego „Rocznika“ str. 252. Broniąc Poniatowskiego napada na wszystkich, co z nim nie trzymali; dostaje się tam wszystkim szczerym patriotom, a najwięcej zaś Kollatajowi jako najgorliwyszemu patriocie, najsprytniejszemu pod względem rozumu i nieugiętego charakteru. Wątpimy aby pamiętnik ten rzucił nowe światło na dzieje owej epoki, zwłaszcza iż go historycy znali w rękopiśmie. Zpopularyzowanie jego bodaj przyniesie tyle Poniatowskiemu co Wł. Zamojskiemu jego pamiętnik.

Kraszewski nadesłał wyjątek z pamiętnika Kilińskiego w celu zachęcenia nakładców do nabycia pamiętnika. Szkoda że redakcja „Rocznika“ nie nabyła go, a umieszczając obok Wolskiego stałaby na gruncie bezstronnym prawdziwie historycznym. Sądzimy że pamiętnik Kilińskiego więcej objaśniałby, niż „Obrona.“

Kilka wspomnień Ludwika Orpiszewskiego z czasów 1830 i 31 lat, jako też późniejszych z tułactwa.

I Bronisława Zaleskiego „Zniesienie poddaństwa na Litwie“ najwięcej zajmujący i ciekawy artykuł. Autor, który w tem dziele brał czynny udział, przekonywa, że szlachta miała dobre intencje, ale rząd moskiewski przeszkadzał. Nie zawahamy się jednak wątpić: czy szlachta z własnej inicjatywy zrobiłaby więcej jak rząd. Byli tacy wszędzie, którzy mieli dobre chęci, ale ogół?... patrzyliśmy na to wtenczas, a przekonaliśmy się w czasie wojny 1863 r. do czego ta szlachta była zdolną. Odpokutowała za to ciężko, ale prawda prawdą. Autor rzuca wiele światła na kwestję, podaje wiele wiadomości, z których historyk potrafi skorzystać, gdyż autor obeznany dokładnie z rzeczą maluje stan dobrze.

Jeszcze nekrologi. Oto i cały „Rocznik.“ Oprócz pracy redaktora (Bronisława Zaleskiego), nie ma w nim nic, coby zdradzało najmniejszą działalność „Towarzystwa historyczno-literackiego.“

Nie sądzicie jednak z tego o pracach emigracji; jestto dopiero jedna cząstka, a w przekonaniu ogółu emigracyjnego najlichsza; z kolei sądzimy, iż przyjdzie się nam i o ważniejszych wspominać.

A. D.

Rozmaitości.

* 15. b. m. ma się ukazać piśmko humorystyczne p. t. „Śmieszek.“ Nazwisko redaktora (p. Wł. Zagórski), daje nam rękojmię, że „Śmieszekowi“ na humorze zbywać nie będzie; chociaż to od czytelników zależy: kważną minę może mieć pismo wtedy tylko, gdy mu zbywa na potrzebnej liczbie prenumeratorów...

* W Neapolu dnia 28. stycznia oberwała się góra, do której przytyka część miasta St. Lucia.

* Dumas ojciec napisał nową komedję p. t. *Walenty i Walentyna.*

* Traiczna śmierć cesarza Maksymiliana natchnęła dramaturgów do pisania na tem tle tragiedyj. Jedna z takich dawana była w Nowym Jorku — i upadła!...

* Garibaldi, jak podają dzienniki, napisał komedję; wiersze zaś jego, których znaczny zbiór posiada, mają być wydane wkrótce w Londynie.

* W Paryżu odbywają się obecnie próby nowego oświetlenia miasta, które ma być o wiele tańszem od dziś używanego gazu, i o 36 razy odeń silniejszym. Wynalazcami są pp. Tessier du Mothey i Marechal.

* Ludność Sybiru. Sybir łącznie z obwodem orenburskim, Kirgizów zajmuje przestrzeń 264,865 mil kw. z ludnością 2,360,147 pici męskiej i 2,266,552 pici żeńskiej, razem 4,625,699 dusz pici obojgej.

* Statystyka węgla kamiennego. Simonen dowodzi z danych statystycznych, że produkcja węgla kamiennego w Anglii, Belgii i Francji podwaja się prawie co każde 15 lat; w Prusach co 10 a w Stanach Zjednoczonych co 5 lat. Zdanie swoje opiera na następujących cyfrach: W Anglii roku 1852 wydobyto 50 mil. ton, roku 1862 liczba dobytego węgla wzrosła do 93 mil. W Belgii roku 1845 dobyto go 3,500,000 ton, roku 1860 już 7½ mil., a 1863 roczna produkcja doszła do 10 mil. We Francji roku 1843 dobyto 3,700,000 ton, roku 1858 produkcja doszła do 7½ mil., a nakoniec w roku 1865 podniosła się do 11 milionów ton.

* W Zakładzie naukowo-wychowawczym panny Heleny Pożakowskiej we Lwowie, odbył się 10. b. m. publiczny egzamin uczennic, który wypadł w całości tak świetnie, że sam już wystarcza do usprawiedliwienia dobrej opinii, jakiej używa Zakład.

„Wychowajmy jedno pokolenie jak należy — a nie mamy potrzeby troszczyć się o przyszłość.“



Mieliśmy dowód, że Zakład panny Pożakowskiej należy do tych, które ścielą drogę naszej przyszłości, rozdzielając światło... i czujemy się w obowiązku złożyć podziękowanie Przełożonej, życząc, by w długie lata pozostał jej Zakład takim, jakim go poznaliśmy w dzień popisu.

* Jenerał amerykański Scheridan, objeżdżając miasta Stanów Zjednoczonych, bywa witany i wita się prawdziwie po amerykańsku. W mieście Chicago — tem samem, które niedawno o sążeń w górę podniesionem zostało — pięćset panien wyszło na powitanie bohatera, który miał sobie za obowiązek każdą z nich pocałować w oba policzki! — złożył więc nie mniej ani więcej, tylko 1000 całusów, a więc tyle, ile wszyscy razem wzięci kochankowie w Europie w ciągu jednego roku!

(Teatr.) Mieliśmy parę nowości: *Poznaj nim pokochasz.* Scena dramatyczna Fredry (syna) i *On będzie moim!* komedja w jednym akcie, naśladowana przez Kaszewskiego.

Pierwsza nie jest pisaną dla sceny; druga odznacza się tem chyba, że obey krzew niewłaściwie przeniesiono pod nasze niebo.

U nas panienka, któraby podobnie chciała się wydać za mąż jak Irena w komedji p. K. otrzymała by nazwę nieskromnej, i bardzo wątpimy czy udało by się jej dopiąć zamierzonego celu.

 Dodatek: tablica krojów i wzorów. 

TREŚĆ:

Na stepie (c. d.). — Po śmierci (c. d.). — Pierwsza miłość korepetytora (dok.)
Korespondencja z Paryża. — Rozmaitości.